

GUSTAW DZIEWIĘCKI

NIEPAMIĘĆ



TOM 1

Gustaw Dziewięcki
„Niepamięć”

Copyright © by Gustaw Dziewięcki, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Korekta:
„Dobry Duszek”,
Bogusław Jusiak

Projekt graficzny i skład:
„Dobry Duszek”

Ilustracje:
Gustaw Dziewięcki

Projekt okładki:
Gustaw Dziewięcki,
Jakub Kleczkowski

Ilustracja na okładce:
Gustaw Dziewięcki

ISBN: 978-83-8119-770-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja demonstracyjna

Podziękowania

Należą się przede wszystkim Tobie, że zainteresowała Cię ta książka. Może właśnie dzięki Tobie, będę mógł dalej rozwijać swoją pasję i spisać resztę czekających na to historii. Ta powstawała przez wiele lat i dojrzewała wraz ze mną. Nie byłoby jej, gdyby nie moja rodzina i przyjaciele, którzy nie raz byli inspiracją i natchnieniem do dalszej pracy. Ich wiara i zaangażowanie w to dzieło pomogły mi je sfinalizować. Serdecznie dziękuję wszystkim wspierającym na OdpalProjekt.pl oraz poza kulisami zbiórki. Dziękuję całemu Wydawnictwu Psychoskok za współpracę i pomoc.

Cieszę się, że zdecydowałem się w końcu wydać tę książkę. Mam nadzieję, że wspólnie z Tobą będziemy odkrywać pochowane w wyobraźni światy.

PROLOG

Ciepła, pomarańczowa poświata bijąca od ogniska zalewała niewielką kotlinkę, wnosząc do niej życie i radość. Chyżo igrające płomienie odbijały się w oczach przygarbionego starca, siedzącego na jednym z dwóch znajdujących się w zagłębieniu pni.

Zwalone drzewa kontrastowały ze sobą, jakby odbite w krzywym zwierciadle wypaczającym idealną symetrię i harmonię. Pierwszy, na którym siedział mężczyzna – zdrowy, wytrzymały, lecz wytarty od ciągłego użytkowania. Naprzeciw drugi – sękaty, zmurszały, pokryty mchem oraz porostami, tak iż zdawało się, że już tylko magiczna siła powstrzymuje obumarły twór przed ostatecznym rozkładem.

Skwierczące drwa zakłócały panującą dookoła ciszę, a powietrze stało, nie zaszczykając siedzącego ani jednym orzeźwiającym podmuchem. Głęboko zamyślony, zdawał się na kogoś czekać. Płaszcz, którym się odział, był zapyziały, znoszony oraz postrzępiony w wielu miejscach, przypominając sfatygowany płat skóry, odklejający się od skażonego ciała.

Nie był to przyjemny widok.

Głowa starca była całkowicie łysa i niczym zwodniczy księżyc odbijała światło promieniujące z ogniska. Pełna wyrazu oraz głębi twarz, pocięta bliznami, poorana bruzdami, na pierwszy rzut oka napawała strachem i odrazą, lecz z każdym uderzeniem serca spędzonym na wpatrywaniu się w nią zdawała się miłsza i cieplejsza.

Zwłaszcza oczy.

Tak... Te jego oczy. Choć przepełnione melancholią, to mądre i dobre, będące przecież odzwierciedleniem duszy. Czyż osoba o takich oczach mogła być przerażająca? Zdolna do złego?

Pozlepiana, poplątana broda, długa do pasa, zasłaniała pierś, nadając siedzącemu żebraczego wyglądu. Nie był on jednak cheralawym dziaduniem. Wręcz przeciwnie. Jeśli ktoś zbliżyłby się doń, poczułby bijącą od niego energię i siłę, niespotykaną witalność oraz moc – choć doświadczony i naznaczony życiem, wciąż zachowywał żelazną, żołnierską sylwetę.

O umięśnioną, ujętą w skórzane spodnie nogę starca opierał się miecz w skromnej, również skórzanej pochwie, stykając się z ziemią tuż obok solidnego, lecz utyłanego błotem buta o wysokiej cholewie.

Nagły porywisty podmuch zerwał się ni stąd, ni zowąd, szeleszcząc mocno liśćmi, a gałązki wprawiając w opętańczy klekot. Osoba skwitowała to westchnięciem, jakby z rozczarowania, a być może poirytowania. Szczapa, podkreślając tę reakcję, osunęła się ze stosu, upadła z hałasem i odturlała na bok. Mężczyzna schylił się po leżący obok kostur i z jego pomocą wsunął kawałek drewna z powrotem do ognia.

Zapytany, sam nie byłby w stanie określić, co pierwsze przykuło jego uwagę. Wyłaniająca się z mroku mała, wątła postać czy jej wyrośnięty, jak na ironię, trzymający się na uboczu wilk.

Starzec łypał na nich spod krzaczastych brwi z widoczną niechęcią. Potęgowali nieznośny hałas, którego i przedtem było dość.

– Mogę się przysiąść? – zapytał stanowczo chłopczyk, spoglądając wprost w śledzące każdy jego ruch źrenice.

Mężczyzna zwiesił głowę i zdawało się, że popadł w jeszcze większą zadumę niż poprzednio. Jakby rozważał, czy chce, by ktoś zakłócał mu czas w tej właśnie chwili. W końcu z wieczoru, jak każdego

uprzednio przeżywanego tutaj od niezliczonych dni, wyszły nici. Już od dawna nikt nie mącił jego naturalnego, niezmiennego rytuału. Miał prawo być rozdrażniony.

I w istocie rzeczy był, nie starając się tego ukrywać.

– Tyle już czasu minęło – odrzekł, spoglądając na wciąż stojące dziecko i gestem pełnym wahania wskazał drugi pniak.

Przybysz zajął miejsce i drzewo stęknęło cicho, a potem ożyło, zdrowiejąc w mgnieniu oka. Wyładniały pień upodobał się do swojego pierwowzoru, wiernie kopiując każdy centymetr jego powierzchni.

Wielgachne zwierzę o groźnym, drapieżnym spojrzeniu i nie mniej srogim uzębieniu, do tej pory stojące poza kręgiem światła, teraz zbliżyło się i położyło u stóp swojego pana. A może tylko towarzysza?

Stary żołnierz czuł na sobie niepokojący i wręcz niezwykły wzrok stworzenia, który być może kiedyś przyprowadził go o dreszcze, ale teraz? Teraz było mu wszystko jedno.

– A więc? – odezwał się ponownie. – Czego chcesz?

W rękę dziecka, nie wiadomo skąd, pojawił się długi kijek, na którego bogato rzeźbionej powierzchni światło tańczyło i załamywało się, tworząc fantazyjne, wijące się kształty.

Kotlinka rozbrzmiała parsknięciem.

– Będziesz się tym bawić czy pozazdrościłeś mi mojego kija? – zapytał z bladym uśmiechem, teatralnie poklepując kostur.

Dziecku nie było jednak do śmiechu. Z grobową miną wsadziło przedmiot w ogień na sztorc i wszystko wokół zamarło. Dosłownie. Płomienie zastygły, jakby wyciosane z jaśniejącego, górskiego kryształu. Liście i gałęzie przestały szumieć, sztywno wisząc nad ich głowami jak gipsowe odlewy.

– Już wystarczająco długo gnijesz na tym pustkowiu. Jak jakiś pustelnik. – Splunął w bok.

Znów odpowiedział mu głośny, szczerzy śmiech. Futro na karku wilka zjeżyło się, a mięśnie napięły. Ukazując bogaty garnitur paskudnych zębisk, zawarczał demonstracyjnie.

Starzec wyprostował się w odpowiedzi, wypiął szeroką pierś, a na twarzy pokusił się o szeroki, drwiący uśmieszek.

– Co cię to obchodzi? Ciebie?

Pytanie zostało zignorowane. Lustrowali siebie nawzajem, tworząc przedziwny, skłócony obraz. Jak wcześniej pniaki, tak teraz oni zaprzeczali sobie. Młody i stary. Duży i mały. Rozbawiony i poważny. Samotny i z towarzyszem.

– Pragnę namówić cię do powrotu. – Nie wytrzymał w końcu, przykręcając głowę w bok, by za wszelką cenę nie patrzeć w te drwiące, pełne życia oczy.

– Namówić mnie? Do powrotu? – Parsknął, po czym kilkakrotnie pokręcił dynamicznie swoją łysą głową. – A to ci dopiero!

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jest to zabawne. Swoją drogą... – podjął po efektownej pauzie. – Ciekawe, że aż tak długo kazałeś na siebie czekać.

Na te słowa usta chłopca ściągnęły się w wąską kreskę, lecz ruchem dłoni uspokoił pupila, który wiercił się, wysłuchując drwin rzucanych w twarz malca.

– Nic nie mówisz? Przecież przyszedłeś tu, by mówić, prawda?

Delikatna szczeka zacisnęła się jeszcze mocniej, a twarz nabrała purpury. W końcu zeskoczył z kłody i biorąc się pod boki, wyrzekł coś, co może kiedyś starzec mógłby wziąć za groźbę.

– Może zanim zacznę mówić, powinienem ci o czymś przypomnieć?

Teraz nie miał jednak nad nim władzy. Przecież przyszedł tu skruszony, po tylu latach, które ciągnęły się już w nieskończoność. Ośmieszony, zdławił w sobie dumę, by skomleć o jego powrót. Po-

zostawało jedyne pytanie, które musiał sobie zadać, a może musieli uczynić to obaj. Jak bardzo go potrzebował?

Nerwowe łomotanie pięścią do drzwi wyrwało go ze snu. Rozbieganym spojrzeniem zlustrował pomieszczenie, w którym się znajdował. Wszystko tonęło w nieprzeniknionym mroku. W ślad za namolnym, uciążliwym dobijaniem się do jego uszu poczęły dochodzić inne, stłumione hałasy z zewnątrz.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął zaspany, rozgrzebuując miękką, aksamitną kołdrę, pod którą jeszcze przed chwilą słodko spał.

Usiadł nagi na łóżku, a stopy mechanicznie poczęły szukać skórzanych sandałów. Wstał i natychmiast upadł z jękiem na marmurową posadzkę. Eksplozja, która zatrzęsała budynkiem, wybudziła go do cna. Była jak kubeł lodowatej wody wylany wprost na twarz.

Wybuch nie zdążył do końca przebrzmieć, gdy, niczym w akcie jedności, rozległy się dźwięki spadających i roztrzaskujących się dzieł sztuki. Misternie zdobione przedmioty z najprzeróżniejszych zakątków świata obracały się wniwecz, drażniąc swymi nieprzyjemnymi odgłosami.

– Panie, musimy uciekać! – odpowiedział mu zniekształcony głos zza ogromnych dębowych drzwi pokrytych inkrustacją. Głos jakby znajomy, lecz zachrypnięty i pełen niepokoju.

Mężczyzna podniósł się z klęczek, lecz jego uwagę przyciągnęła intrygująca, biała poświata wędrująca po podłodze. Bez namysłu podbiegł do miejsca, z którego się wyłaniała, energicznym ruchem odgarnął ciężkie zasłony i otworzył obydwa skrzydła wiodące na szeroki taras. Dopiero teraz, gdy ciepłe nocne powietrze owiało mu twarz, uświadomił sobie, jaka duchota panowała w komnacie.

Głuchy pomruk znów się powtórzył, budynkiem targnęło, a szybki pękły z przeraźliwym jękiem. Mocno wczepione we framu-

gę palce uchroniły go przed kolejnym upadkiem. Przestępując nad pokruszonym, szkłem, z pośpiechem dopadł do balustrady, a oparłszy o nią ręce, niepewnie wychylił się do przodu, spoglądając w dół.

Zachwiał się, zaskoczony widokiem.

Na przedpolu okalającym pałac Ther Fal kłębiły się setki żołnierzy, a o ile pamiętał, nie była to pora na audiencję. Biegący po murowanym moście, wdzierający się na zewnętrzny dziedzińiec nie wyglądali też na orszak petentów.

Skierował wzrok gdzie indziej, obejmując dalszą okolicę pobieżnym spojrzeniem. Zabudowania gospodarcze płonęły, a nerwowe jęzory trawiły w szczególności pałacowe stajnie. Dobiegające stamtąd głośne i trwożliwe rzenie oraz kwik uwięzionych w pułapce koni rozwścieczyły go.

– Co, do jasnej cholery?! – warknął wściekle, podświadomie uderzając pięścią w poręcz.

Jego ukochane wierzchowce... Ciemny dym zakrył wszystko niczym całun, pograżając otoczenie w nieprzeniknionym chaosie.

Wracając do pomieszczenia, chwycił przewieszane przez fantazyjnie rzeźbiony wieszak ubrania. Palce drżały mu ze złości i strachu. Wkładając tylko to, co konieczne, narzucił luźną, głęboko wyciętą pod pachami suknię, przewiązawszy ją pasem. Nie był to strój do walki, ale i tak nie miało to znaczenia.

W zamieszaniu zapomniał o zawieszonym na ścianie mieczu.

Dobiegając do źródła uporczywych uderzeń, potknął się ze dwa razy, ale zdołał wyprostować ciało i utrzymać je w pionie. Złapał za uchwyt, zamierając natychmiast, zdjęty nagłym strachem.

– Panie! Otwórz w końcu te pieprzone drzwi! – zabrzmiał błagalny ton, poprzedzony mocniejszym łupnięciem. – Nie mamy czasu!

Targany niepokojem, przemógł się wreszcie i przekręcił mosiężny klucz. Nie musiał nawet pociągać drzwi do siebie, bo same poszły mu na spotkanie. Ratując się w popłochu, niezgrabnie odskoczył do

tyłu i byłby runął, gdyby nie żelazny uścisk przybysza. Młody, wysoki żołnierz o czarnych włosach bez słowa przestąpił próg, chwytając monarchę pod ramię i pociągając gwałtownie za sobą.

Krótką, zmierzwioną czupryną przylepioną do mokrego od potu czoła. Duże, ciemnoniebieskie oczy niczym głębokie jeziora, na których dnie, jak wrak okrętu, spoczywał strach. Nabrzmiące żyły, przez które tłoczona krew pompowała w ciało adrenalinę. Przyspieszony, urywany oddech pełen zdenerwowania.

Tego gwardzisty nie znał za dobrze, więc musiał być zapewne tym świeżo mianowanym po śmierci poprzedniego, chociaż... Niespokojna myśl zaświtała mu w głowie. Wyrwał się i przystając dumnie wyprostowany, spojrzał nań z ukosa. Przecież należało mu się choć słowo wyjaśnienia. Był królem, nie byłem, a dał się ciągnąć jak ono.

W wolnej od biegu chwili przyjrzał się poddanemu zakutemu w szmaragdowo-złotą, zbroję, pod którą tu i tam prześwitywała ciemna kolczuga. Szeroka, trójkątna tarcza, zawieszona na plecach, przyciskała wypływający kaskadą fałd i załamań brunatny płaszcz. Obusieczny, półtoraręczny miecz o szerokim i długim ostrzu, na co dzień zapewne koloru piaskowca, teraz hipnotyzował złowrogim ciemnopomarańczowym odcieniem. Zdawało się, że kawał meteorytowej stali, będący najszlachetniejszym z okolicznych materiałów, zboczony krwią, zasysał ją niczym rozjuszony wiekami abstynencji wampir.

Z zamyślenia wyrwało go pociągnięcie za nadgarstek, ale ani myślał gdziekolwiek się ruszać. Zdezorientowany żołnierz, nie wiedząc, co uczynić, wykrztusił z siebie trzy krótkie słowa:

– Panie! Wybuchł bunt!

– To widzę! – zachnął się. – Nie ruszę się, póki nie powiesz, dokąd mnie prowadzisz!

Znajdowali się na najwyższym piętrze, a rozwścieczona masa kłębiąca się u dołu niczym fala powodziowa napływała, zalewając

z pewnością coraz to wyższe kondygnacje. Gwardzista zdawał sobie sprawę, że jeśli ucieczka miała się powieść, musieli czym prędzej ruszać dalej, bo każda chwila zwłoki mogła oznaczać katastrofę.

– Zaufaj mi, panie! Nie mamy czasu do stracenia! Musimy...

– Gdzie są moi synowie?! Gdzie moja małżonka?!

– Przykro mi – wypowiedział ledwo słyszalnie. – Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie mogą się znajdować.

– Jak to?! – zaryczał, a twarz poczerwieniała mu ze złości. Gęste, falujące włosy koloru miedzi objęły ją z chwilą, gdy pochylił się do przodu, nadając jego osobie groźniejszego wyglądu. – Co to znaczy, że nie masz najmniejszego pojęcia?! Nigdzie...

– DOŚĆ! – Żelazny chwyt niczym cęgi ścisnął mu ramię. – Dostałem rozkaz i go wypełnię, choćbym miał przypłacić to głową! Ani słowa więcej!

Wybuch młodzieńca był tak oszałamiający, że królowi zaparło dech w piersi. Poprowadzony dalej, czuł wypełniające go znieśmaczenie. Pozbawiony jednak większego wyboru i lepszego pomysłu, podporządkował się, licząc tylko, że ujdzie z życiem.

Wspólnie przemierzwszy korytarz otwierający się na szerokie schody, zbiegli po nich w pośpiechu, zaraz znajdując się wśród bezradnej, rozgorączkowanej służby, którą ktoś rozsądniejszy nawoływał do zebrania się i zorganizowania oporu.

Świat wokół wydawał się taki nierealny. Noc wypełniona krzykami i jaskrawymi barwami mąciła mu w głowie, po której kołatały się niespokojne myśli o rodzinie. Wszystko naokoło się sypało, w przenośni i dosłownie, a w dodatku patrzył na to bezsilnie. Z trudem powstrzymywał napierające na ścianki powiek łzy, lecz zaraz naszała go refleksja i opamiętanie. Kim był, że pozwalał sobie na takie sentymenty? To w nim powinno się upatrywać oparcia.

Biegnąc na tyły budynku i co rusz na kogoś wpadając, rozglądał się na boki. Do niedawna wszędzie tutaj, w każdym przejściu, sali

i komnacie, panował podniosły spokój i cisza. Harmonia. Scheda, jaką przejął po ojcu, która teraz rozsypała się w proch.

Kolejne skręcające się w eliptycznej klatce stopnie prowadzące w dół. Kolejne stopnie w dół przybliżające go do piekła. Przybliżające do upodlenia, jakim było wygnanie lub śmierć.

„Zawiodłem cię – pomyślał. – Być może pomyliłeś się, być może Aedhen nie było gotowe na takie zmiany, ojczu”.

Znów wspomniał przypadłych bez śladu bliskich, czując się bez nich jak tchórz. A co, jeśli go opuścili? Gdzie byli zaprzysiężeni mu wojownicy? Czemu u swego boku miał tylko jednego? W głowie rozbrzmiały mu słowa przysięgi, jaką składali bracia królewskiej gwardii w obecności bogów, kapłanów i całego dworu: „Przysięgam być mieczem oraz tarczą w twojej dłoni. Zbroją na twym ciele, pochodnią w otaczającej cię ciemności oraz liną w przepaści. Przysięgam nie opuścić cię do końca moich dni, zginąć za ciebie i twoje tajemnice. Przysięgam. Przysięgam i niech tak dopomoga mi bogowie”.

Hałasy przycichły, sytuacja wokół uspokoiła i zdawało się, że oddalili się od niebezpieczeństwa. Ktoś na krótko do nich dołączył, ale monarcha nie zarejestrował żadnego szczegółu, bo rozmazana sylwetka równie szybko zniknęła, jak się pojawiła.

Nagle coś targnęło nim w bok, obaliło na zimną podłogę i zaraz potem zaciśnięta na rękojeści noża dłoń wzniosła się nad jego głową. Uwolniona spod ciała ręka sama powędrowała w okolice boku, lecz nie natrafiła na znajomy kształt.

„No tak, przecież zostawiłem miecz w komnacie”.

Poruszył się pod napastnikiem, usiłując wytrącić go z równowagi, zanim zada cios, ale nie zdążył. Jakaś dłoń w rękawicy chwyciła rękę niedoszłego zamachowca tuż przed twarzą króla i odgięła na bok. Reszta była już mgnieniem oka. Gwardzista wyłuskał nóż i ściągając wroga z leżącego, zagłębił mu go po samą rękojeść.

Umierający odetchnął jęklonie.

– Dziękuję – wysapał król rozdrganym głosem.

Mężczyzna pomógł mu wstać i bez dalszego słowa ruszyli w drogę, pozostawiając za sobą sieć korytarzy i spajające je kruzganki. Szum znów zaczął narastać, wibrując nieprzyjemnie. Czy podążali w dobrym kierunku?

– Jesteś pewien...

– Tak – uciął krótko.

Gdy znaleźli się w reprezentacyjnym westybulu, kuszącym bogatą dekoracją, przed nimi otworzył się widok na rozległy, brukowany plac, ujęty po bokach galeriami, oraz na wiodącą w dół kaskadę schodów. Schodów, po których wdzierała się brunatna masa – jej widok przypominał mu o braku uspokajającego ciężaru zbroi. Ciężaru, który w przeszłości tak wielokrotnie przeklinał.

– Oszałałeś?! – wrzasnął, rozglądając się i rozpaczliwie szukając innej drogi ucieczki.

Za ich plecami znajdowała się sala tronowa, z której nie było drugiego wyjścia. Po bokach seria pomieszczeń, a także te zajmowane przez służbę, z których zapewne nie dało się już wydostać. Po co więc było tu biec? Czemu przyboczny stał nieruchomo, zdając się na coś czekać? Na co? Aż zaleje ich ta tłuszcza?

– Co ty wyprawiasz?!

– Zaufaj mi, panie! – Odrzucił jego rękę.

Dłonie króla poczęły drżeć. Przeczesał opadające na ramiona włosy, aby wytrząsnąć z nich pył i zrobić cokolwiek. Cokolwiek, by przestały drżeć.

Nagle w blaskach płomieni dostrzegł przedzierające się w ich kierunku trzy opancerzone sylwetki. Ukłucie nadziei, na krótko pozwalające mu się opanować, przygasło, gdy jeden z biegnących runął na twarz rażony bełtem kuszy.

– Nasza obrona upada, panie! – natychmiast zameldował starszy z dwóch nowo przybyłych, jednocześnie co rychlej podając mu cie-

pły, wełniany płaszcz zdjęty z własnych ramion. – Wycofujemy się z zewnętrznego dziedzińca! Przygotujemy obronę w sali tronowej!

Generał gwardii przyklęknął.

– Służba dla ciebie była zaszczytem, o wielki Mirandhirze von Odher. Wybacz mi, przeliczyłem się.

Co mogły oznaczać te słowa? W czym się przeliczył?

– Na mnie już niestety czas. Hefnar ruszy z wami. – Wskazał na druha o drapieżnej, ptasiej twarzy, której wyraz potęgował hełm z wielkim pióropuszem. – W kuchniach znajdziecie przygotowane zapasy, o resztę zadba Ahref.

Wstał, odtoczył niewielkie zawiniątko od nabijanego złotymi guzami pasa i wcisnął je młodzieńcowi, obarczając wymownym, ciężkim spojrzeniem. Potem rozstali się w pośpiechu, a Mirandhir żałował później, że nie odezwał się słowem, czerwieniąc jeno i zaciskając mocniej szczęki.

Oddalając się, na tle totalnej zawieruchy usłyszeli jeszcze krzyki generała nawołującego pozostałych przy życiu obrońców, a niedługo potem do ich uszu dochodziły już tylko przeraźliwe wrzaski mordowanych, triumfalne odgłosy zabijających oraz najgłośniejsze ze wszystkich, choć nieliczne, ryki obrońców. Dźwięki, które zapadną im w pamięć na długie lata. Dźwięki, które będą przypominać o sobie zwłaszcza nocną, samotną porą, gdy każdy pozostaje zagłębiony we własnych myślach, odcięty od zewnętrznego świata.

Mirandhir natchniony nowym duchem, pozbawiony uprzednich wątpliwości, pozwolił zagłębić się w gmatwaninę pomieszczeń. Po wyczerpującym kluczeniu oraz przedzieraniu się przez rozrzucone w popłochu rzeczy, z których każda opowiadała swoją własną, niepowtarzalną historię, nazwany Ahrefem w końcu pchnął ciężkie skrzydła kuchennych drzwi i z grubsza zlustrowawszy obszerną, sklepioną komnatę, bez wahania rzucił się do myszkowania po niej.

– Aż dziw bierze, że nikt jeszcze się tu nie wdarł – bąknął drugi z żołnierzy, spoglądając z uwagą na zarygłowane drzwi osadzone na bocznej ścianie. Z ulgą ściągnął z głowy hełm, ukazując całość trójkątnej twarzy o leciutko zapadniętych policzkach i orlim nosie, a także gruby warkocz zapleciony z brunatnych włosów. – Jak chcesz nas stąd wydostać, Ahrefie? – spytał, odrzucając trzymany w rękach przedmiot.

W ruchach szamoczącego się ze stołami, skrzyniami i regałami mężczyzny było widać determinację i pewność siebie. Zapytany, rzucił pełne wyrzutu spojrzenie, skinięciem przywołując go do siebie.

– Co ty zamierzasz? – szepnął mu do ucha Hefnar, korzystając ze sposobności. – Stąd nie ma innej ucieczki niż ta, o tam... – Odchylił głowę w bok.

Zignorował go. Rozbrzmiało sapanie, a po nim jęk przesuwanego mebla wraz z nieprzyjemnym brzdękiem spadających i rozpryskujących się w drobny mak szklanych naczyń. Twarz króla skrzywiła się. Nie poskarżył się jednak, dostrzegłszy skulone w zakamarkach niepozorne postaci, wpatrujące się w nich z przestachem.

– Pomóż, miast tyle głądzić! – warknął, przystanawszy na chwilę, i wręczył mu skrawek płótna.

– Ledwo coś widzę – poskarżył się.

Ahref westchnął ciężko, zaraz pstryknawszy palcami. Na uderzenie serca mrok wokół mężczyzny schował się, jakby zawstydzony rozbłyskiem niewielkiego, bladożółtego świetlika.

– Zdążyłeś?

W odpowiedzi kiwnął głową, zaraz jednak przygryzając w zamysleniu wargę.

– A nie mógłbyś...

– Nie! – uciął zirytowany.

Westchnęli. Wspólnie biorąc się do roboty, za cel obrali szafę, którą przy okazji zabarykadowali wejście. Niewtrącający się do tej pory monarcha zaczął zaglądać im z ciekawości przez ramię.

– Chyba nie czas na zmianę wystroju – sarknął zaraz po tym, gdy wywołane emocjami dreszcze przeszły jego ciało.

– Bynajmniej – odparł Ahref, po namyśle rzucając władcy pogięty zwitek. – Jeśli rzuci ci się coś podobnego, panie...

– Co to ma być? – oburzył się, z trudem łapiąc materiał i obracając w palcach, nie wiedząc, gdzie góra, a gdzie dół. – Ale tu nic nie widać – podjął po chwili.

Zignorowany, zasępił się, skupiając całą swoją uwagę na nieczytelnym, dziwacznym znaku. Po zdawałoby się niemających końca, przepełnionych sapaniem oraz wizgiem, a także płaczliwymi odgłosami tłukących się naczyń chwilach rozległ się jego uradowany krzyk:

– Coś się tam skrzył!

Rzeczywiście. Na płycie, uwolnionej spod solidnego ciężaru, ukazał się wyryty, połyskujący złotawym blaskiem relief, identyczny kształtem do namalowanej na płótnie sygnatury. Kamień wyróżniał się spośród pozostałych także fakturą i kolorem.

– No, no...

Ahref podszedł do paleniska pod ścianą i wyjął z niego pogrzebacz. Wróciwszy, wetknął go w niewielki otwór, zapierając się z całych sił. Kuchnię przeszył wydobywający się zza zaciśniętych zębów ryk, lecz element ani drgnął. Gwardziści zamienili się. Bez widocznego skutku.

– Psiakrew!

Przymierzyszy się we dwóch, również nie działali niczego. Po czerwonych z wysiłku twarzach spływały z celebracją perliste krople potu, a z opakowanych kilogramami blachy płuc wyzierało rżące charczenie. Młodszy odepchnął towarzysza na bok i zdecydował się na kolejne samotne podejście.

– No dalej, kochanieńka – wysapał. – Otwórz się przede mną!
Głuchy łomot rozległ się tuż obok. Król obrócił twarz w tam-
tym kierunku.

– Pośpiesz się! – krzyknął.

Żołnierz zawył. Po przedramionach i dłoniach przepłynęły mu pulsujące, bladoniebieskie iskry, zapachniało przypalonym mięsem. Uderzenia, podekscytowane krzyki i nawoływania przybierały na sile, zaciskając się wokół nich jakby garota. Ktoś spróbował wybiec, ktoś podszedł bliżej, z niemą ciekawością przypatrując się doznającemu cierpienia, których przysparzały przeszywające ciało raz po raz wyładowania.

Coś zgrzytnęło. Rozległ się ogłuszający jęk, łomot wypełnił pomieszczenie i...

Mirandhir obejrzał się przez ramię, gotowy na najgorsze. Dźwięk nie pochodził jednak z zewnątrz. Ahref oklapł ciężko i trzymając w dymiących rękawicach ułamany kawał pręta, zaniósł się opętającym śmiechem. Król zbladł, dostrzegłszy zniszczony kawał metalu, lecz szczęśliwie również kamienna płyta została wydartą ze swojego miejsca, przestając być przeszkodą.

Ciemność i duchota ogarnęły ich, gdy zagłębili się w podziemiach pałacu, a ostatnia nieśmiała poświata dochodząca z góry zniknęła wraz z głuchym odgłosem. Jeszcze do dzisiejszej nocy władca Aedhen uważał istnienie starych katakumb jedynie za legendy, ale teraz, czując chłód na swej skórze, przekonał się, jak bardzo się mylił.

– W jaki sposób będziemy się przemieszczać, gdy niczego nie widać? – poskarżył się.

– Położmy sobie dłonie na ramionach i liczymy na łut szczęścia – odpowiedział mu szyderczym tonem towarzysz.

– Zapominasz się!

Ahref po raz kolejny pstryknął palcami, a w powietrzu, tym razem na stałe, zawisła świetlista sfera, ukazując wąski, wyciosa-

ny z niemałą precyzją chodnik. Kula migotała nieregularnie, to rozjaśniając się, to znów niemalże gasnąc, a drobinki kurzu wirowały w jej blasku.

– Wiesz, dokąd zmierzamy? – spytał z dozą niepewności starszy gwardzista.

– To się okaże – odparł, wyciągając małe, drewniane pudełko, o chropowatych, zdobionych żelazem krawędziach. Wyraz na jego twarzy wskazywał, że sam nie do końca wiedział, jak posługiwać się przedmiotem, ale zdecydował się go otworzyć, ukazując znajdujący się w środku mechanizm.

– Co to? – zaciekał się Mirandhir.

– Chyba jakiegoś rodzaju kompas – rzucił czarodziej i wymijając monarchę, ruszył w kierunku, jaki wskazywała leniwie poruszająca się wskazówka.

Światlik podążył za swoim stwórcą, zostawiając resztę w tężącym mroku. Mężczyźni spojrzeli po sobie i ze wzruszeniem ramion pośpieszyli za nim.

– Jeśli jego orientacja dorównuje charakterowi, to chyba nigdy się stąd nie wydostaniemy – rzucił niedbale król do podążającego za nim poddanego, który, widocznie przyzwyczajony, tylko parsknął.

Idąc podziemiami Ther Fal, oflankowani wysokimi ścianami, wsłuchiwali się w głucho echo swoich kroków. Droga rozwidlała się, meandrowała i wiała niczym rzeka. Czasem rozszerzała, tworząc wrzecionowate pomieszczenia, czasem zwężała tak, że ledwo byli w stanie się przycisnąć. Brakowało tylko zniżającego się sufitu, ale Mirandhir, jako osoba niewysoka, nie martwił się tym.

– Nie wiedziałem, że znasz się na czarach, żołnierzu – zagadnął w końcu, nie mogąc znieść ciągłego milczenia.

– Na czym to ja się nie znam, królu – odparł i choć nie odwrócił się, to władca był niemal pewien, że uśmiechnął się kpiąco.

Poruszająca się co jakiś czas wskazówka małego urządzenia prowadziła ich przez zmienne wielkością i kształtem, opustoszałe sale. Ustabilizowane, żółtawe światło ślizgało się po załamaniach i wypukłych reliefach, ożywiając historię nimi zapisaną, przez co Mirandhir nie był w stanie oderwać od nich wzroku. Liczące zapewne tysiące lat, choć wyrwane z kontekstu oraz niezrozumiałe, zdawały się o czymś mu opowiadać, a być może nawet przestrzegać.

Pogrążając się w zadumie, von Odher modlił się do bóstw o zmiłowanie, jeśli nie nad sobą, to chociaż nad swoją biedną rodziną, którą pozostawił. „Cóż złego uczyniłem, że zasłużyłem na ten los? Czy źle wypełniałem wolę swojego ojca? A może przyszło mi zapłacić za jego pomyłkę?”. Pytania nadymały się z każdą chwilą, stając się nieznosne.

Nagle coś zachrząściło mu pod stopą. Oderwał wzrok od rzeźbionej ściany, spoglądając poniżej, na rozsypujące się w proch szczątki, a wręcz usypane z nich pagórki. Puste oczodoły, wyszczerzone, dziwnie ukształtowane uzębienie, rozchylone klatki piersiowe z brakującymi żebrami, fragmenty połamanych kręgosłupów i setki innych kości jeszcze żywiej niż płaskorzeźby oddziaływały na jego wyobraźnię. Aranżacja przyprawiała go o zawroty głowy.

– Ojej – wyrwało mu się.

– To tylko małe cmentarzyki – padło z przodu. – Igła zaczęła przyspieszać, chyba zbliżamy się do celu.

„Jeśli tak prezentuje się przedsionek, to co znajduje się u celu?”. Starając się zająć głowę czymś innym, znów wlepił wzrok w ciągnący się w nieskończoność mur. Potknąwszy się o coś, na co patrzeć nie chciał, podświadomie wyobraził sobie samego siebie, leżącego tu, na tej zimnej, przykrytej grubą warstwą kurzu posadzce. „Czy równie dobrze nie mógłbym skończyć właśnie tutaj? Samotny, opuszczony, zdradzony?”. Zimny dreszcz ponownie przeszył jego ciało. „Paranoik ze mnie” – pomyślał.

Ahref zaklął pod nosem.

Jak się okazało, igła osobliwego kompasu zwariowała niespodziewanie i kręcąc się dookoła, nie była już żadną pomocną wskazówką. Co prawda i tak nie było innej możliwości, jak iść przed siebie, ale jednak. Pozostając w ciągłym napięciu i niepewności, dotarli niebawem do małego centralnego pomieszczenia, w całości wykonanego z czarnego, matowego kamienia. Pomieszczenia, w którym, prócz czegoś na kształt ośmiobocznego paleniska, nie było nic.

„Czy rzeczywiście to cel naszej podróży, czy może tylko ślepy zaułek?”.

Czarodziej zasępił się. Miał przy sobie jeszcze jeden, ostatni podarunek od generała. Spojrzał na znajdujący się w dłoni mały, kryształowy flakonik ze szkarłatną esencją uwięzioną w środku.

– I co teraz? – padło pytanie.

– Zobaczymy – odparł i wahając się, ważył ampułkę w dłoni.

Nie mając innego pomysłu, stłukł naczynko nad paleniskiem. Nie dało to jednak żadnego rezultatu poza tym, że świetlik, ich jedyne źródło światła, zgasł niespodziewanie, nie dając się przywołać z powrotem.

Ahref poczuł na sobie ciężkie spojrzenia towarzyszy, a rozpacz wdarła mu się do serca. „Za kogo oni mnie mieli? Co sobie wyobrażali? Przecież nie bez powodu się tu kierowaliśmy. To miejsce miało być naszą nadzieją, a wygląda na to, że pozostanie końcem wszystkiego”. Usiadł, wspierając łokcie na kolanach, a głowę złożywszy w poparzonych dłoniach. „Może nie powinienem tłuc tego pojemniczka?”.

Nagle przez jego umysł przetoczył się jak wicher tabun wściekłych, nieokrzesanych myśli. Myśli, które nie należały do niego. Tysiące głosów poderwało się jakby do dzikiego lotu, niemożliwy do wytrzymania szum zagłuszał wszystko wokół, a otoczenie zdawało się wirować.

„Czyżby odebrało mi rozum?”.

Kłębiąca się materia wybuchła bez uprzedzenia, zalewając komnatę bladym, jasnym blaskiem, tak jasnym, że aż oślepiającym. Wpędzający w oblęd harmider ustał, a głowę wypełniał mu jedynie szum teleportu.

„Teleportu? Jakiego teleportu? Nie było mowy o teleportach!”. Mirandhir von Odher, władca Aedhen, król orków, zadrżał, a potem skrzyżował przedramiona na szerokiej piersi, nie tak sobie to wyobrażając.

– Nie ma mowy – podjął, odchrząknawszy wymownie.

Naznaczona zmarszczkami twarz, zdobiona ostrym nosem, zbladła, zaraz ściągając się w grymasie niezadowolenia. Bładoróżowe, suche usta zacięły się w szeroką, wąską kreskę, a czarne oczy wyrażały niustępliwy opór.

– Nie ma innego sposobu, panie. – Młodzieniec podniósł się z podłogi.

– Podziwiam twój zapał, chłopcze, ale jednak wolę tu szczeznąć.

– Nie ma innego wyjścia – powtórzył z naciskiem, podkreślając wypowiedź ruchem dłoni. – To będzie mgnienie oka.

– Gdzie nas to wyniesie? – spytał Hefnar.

– W Tryjlii, jak mniemam.

– W Tryjlii? – zdumiał się.

– Już raz zażyłem takiej atrakcji – nie ustępował monarcha. – Wiecie, czego to można się naczycić?

– Ależ to bzdury. – Ahref delikatnie ujął go za przedramię. – Nic złego nie ma prawa się wydarzyć.

Mirandhir zacisnął szczęki i odwrócił twarz, ukazując swój godny bicia na monetach profil. Przeszło pół wieku życia nie ujęło mu nic z urody, a dodało zaszczytnej dostojności.

– Czy to aby na pewno konieczne? – jęknął w końcu, wciąż żywiąc niestłumioną nadzieję, że oto obudzi się pośród miękkiej pościeli i odetchnie z ulgą, uświadamiając sobie, że to tylko zły sen.

– Nie mamy innego wyboru.

Westchnięcie utonęło w hałasie.

– No dobrze, nie przeciągajmy tego. Przecież nie chcemy tu szczepnąć, prawda? – rzekł roztrzęsionym głosem, postępując krok naprzód.

Magiczna przestrzeń otuliła ich ciała i pochłonęła, następnie zapadając się w siebie i sprawiając, że nieprzenikniony mrok na powrót jął władać niepodzielnie. Powyżej walki dobiegły końca, a mieszkańcy Aedhen powrócili do dawnego życia. Wraz z porankiem rozeszły się wieści o nowym królu – Kirghanie Aefhie, który nie zwlekał z zaspokojeniem swych zachcianek.

„Zginął niegodny, niech panuje szalony” – powiadano później. Dni owych rządów były już jednak policzone.



SPIS TREŚCI

Prolog	5
Rozdział I	
Nowe rozkazy, nowe znajomości.....	25
Rozdział II	
Obce niebo.....	77
Rozdział III	
Rozrywki nocy	123
Rozdział IV	
Ku cywilizacji	163
Rozdział V	
Przeszpiegi.....	213
Rozdział VI	
Dobrego złe początki.....	257
Rozdział VII	
Piękna i bestia	303
Rozdział VIII	
Duchy przeszłości.....	359

Rozdział IX

Wróg czy przyjaciel?405

Rozdział X

Książę i generał.....449

Rozdział XI

Konfrontacja491

Epilog532

Koniec wersji demonstracyjnej